Rok I. Lwów dnia 25. lipca 1894. **Numer 6.**

Prenumerata we Lwowie i na prowincyi kwartalnie 80 ct. półrocznie 1·50 rocznie 3 złr. **Numer pojedynczy** 15 ct. Numera pojedyncze mają na sprzedaż księgarnie i biura dzienników.

KRONIKA

społeczna i literacka.

Wychodzi dwa razy na miesiąc.

Adres Redakcyi i Administracyi **Lwów ulica Kopernika 28** w parterze
Cena ogłoszeń 10 ct. za wiersz petitowy czterołamowy.
Rękopisów redakcya nie zwraca.

Pieniądz a my.

W chwili, kiedy sama natura nawołuje do pracy i oszczędności, my bawimy się w naród brzemienny milionami, i wyrzucamy je na to, by otumanić się i zapomnieć na chwilę o naszej prawdziwej nędzy...

Bawimy się tą chwilą bez względu na to, że miliony naszego narodu żyją całe lata w łańcuchach nędzy ekonomicznej, gorszej stokrotnie od kajdan niewolnictwa. Zapominamy, a właściwie zapomnieć chcemy, że przecież miliony ludzi żyć muszą w niezmordowanej walce z głodem, obywając się tem, czego im zwierz nawet nie pozazdrości! To jest *rozrzutność nędzy*, rozrzutność nędzarza i wydziedziczonego. który nie umie liczyć, bo nic do liczenia nie posiada, który nie myśli o majątku dla upiększenia życia, ale o groszu dla jego utrzymania, który nie umie gospodarki swojej oszczędzić, ponieważ stoi ona nie nad, ale pod poziomem nędznej egzystencyi. Ale czy te miliony nędzarzy odgrywają jaką rolę w naszem społeczeństwie? Czy to one tworzą tak zwane „towarzystwo“? Czy to one stwarzają „opinię publiczną“? Nie; one są tylko wodą, na której oczka oliwy się utrzymują, korzystając z rozkoszy światła i powietrza! Te oczka wyzyskują tłum i masy dla swoich korzyści, te „oczka“ żyją kosztem milionów, te „oczka“ tylko zwracają na siebie uwagę wszystkich, bez względu na znajdującą się pod niemi wodę, sobą w zupełności nakrytą...

Każda normalna gospodarka stara się wszystkiemi sposobami, aby największą korzyść wyciągnąć najmniejszym wkładem. My wprawdzie nie mamy nic przeciwko największej korzyści, ale wkłady traktujemy z elegancką obojętnością. Aby mieć ile potrzebujemy, potrzebujemy więcej jak mamy. I dla tego też nie możemy dojść nigdy do zabezpieczonej pozycyi zamożnego gospodarza, która nas powinna uczynić silnymi i wolnymi. Tak, żyjemy z naszych dochodów *wpływających* ale nie z dochodów *posiadanych* — a przecież między jednem a drugiem jest ogromna różnica. Naprzykład dochód dwóch urzędników. Jeden jest na stanowisku pewnem, którego mu nikt nie jest wstanie odebrać — drugi ma stanowisko z tą samą pensyą, ale które może każdej chwili utracić przez wymówienie. Dochody tych urzędników nie są więc równe, bo pewność posiadania ich jest różna.

W obec tych wszystkich faktów, jakie przytoczyliśmy w tych kilku artykułach, w obec zdań za i przeciw naszym poglądom, jest jedna jeszcze kwestya, którą artykulik nasz zakończymy: *gospodarstwo domowe*. Jest ono małem i ciasnem, ale ogromnego znaczenia kołem w którem wypełnić musi swoje powołanie *kobieta!* A jakże różnem bywa takie powołanie! Jest pewna klasa ludzi, specyalnie powołana do tego, aby w środku stałych zarobkowemi prawami oznaczonych granic, pracować na uzyskanie największych przyjemności, wygód i rozkoszy życia — dla innych. Te pożałowania godne istoty, bogate w pracę, biedne w zarobki, bogate w zaparcie samych siebie, biedne w uznanie, nazywamy pospolicie: *gosposią*.

Wy, którzy tak wielkie macie przekonanie o waszej pracy, waszym zarobku, którzy z takiem pogardliwem wzruszeniem ramion odzywacie się o kobiecej pracy, czy zwróciliście kiedykolwiek uwagę waszę na kobietę, na ową „gosposię“ w chwili, kiedy czyni potrzebne zakupno? Nie zauważyliście nigdy twarzy, na której radość ze smutkiem w ciekawe się barwy zmieniała? Nie podsłuchiwaliście nigdy szeptu poruszanych warg, co w niespokojnej ze sobą rozmowie, raz słowem zadowolenia, to znów rachunkiem centa i guldena, guldena i centa trwożliwie drżały? Zapewne, żeście nie widzieli nigdy kupującej, która była na stopniu do sklepu, już chwyciła ręką za klamkę,

lecz szybko się cofnęła i odeszła, bo rachunek jej się nie zgadzał. W pośrodku biegnących karet i powozów, wśród tysiącznej fali przechodzących, odgrywa się niejedna taka mała tragedja życia, w której uczucia grają, tak samo, jak w największej i najpotężniejszej walce ducha ludzkiego z żelaznem, niezmienionem prawem natury. Czyż może być na ziemi twardsze prawo jak to, według którego gulden skazanym jest wiecznie na liczbę tylko stu krajcarów? Nie do uwierzenia! Możemy liczyć jak chcemy, skutek pozostanie zawsze jednakowy. Dlaczego w ręku poczciwej, kochającej, dobroczynnej kobiety, co jak anioł błogosławieństwa idzie przez życie, dlaczego w takim ręku miedź się na złoto nie zmienia? Dlaczego niebo cudów nie czyni? Dlaczego małe jest ofiarą wielkiego? Dlaczego niezmierzona dobroć przykuta jest zawsze do żebraczej torby? Owo „dlaczego" pozostanie jak wiele innych zagadek, nierozwiązane aż do chwili, w której rozwiązanie tej kwestyi i wielu innych nastąpić musi.

SPÓR O HISTORJĄ.

Ponieważ kwestya, czy historya jest umiejętnością, ciągle jeszcze zajmuje umysły wszystkich uczonych, którzy w tej sprawie bardzo dużo dobrych i miernych napisali dzieł, i ponieważ spór historyków o teren historyi niedawno temu rozbrzmiewał, nie bez interesu będzie przytoczyć zapatrywania Ludwika Gumplowicza, pierwszorzędnego socyologicznego pisarza. Gumplowicz oddawna zajmował się tą kwestyą, we wszystkich jego dziełach znajdują się rozproszone w tym względzie cenne uwagi ale dopiero w dziele pt. „Sociologie und Politik" gruntowniej zajął się tym przedmiotem.

Zdaniem naszem nie powinna teraz zachodzić żadna wątpliwość czy historya jest umiejętnością czy nie, a spór z tego powodu wybuchły uważać można za skończony.

Spór ten, powiada Gumplowicz, przedstawia wielkie trudności do pokonania z tego powodu, że historycy nie mają pojęcia ani nawet przeczucia co to jest umiejętność, tak jak przed Kopernikiem, nikt nie przypuszczał, że ziemia kręci się naokoło słońca, a powtóre, że historycy mają przekonanie, iż zwalenie umiejętnego charakteru historyi pociągnie za sobą także śmierc historyi.

Że gołe opowiadanie zdarzeń, tak jak to czynią kronikarze i im podobni historycy, nie jest umiejętnością, to przyznają nawet sami historycy, którzyby chcieli tę „prymitywną" historyografię przez pragmatyczne opowiadanie wypadków, tz. że wypadki przedstawiają jeden, nieprzerwany łańcuch przyczyn i skutków, podnieść do rzędu umiejętności. Tego rodzaju przedstawienie czy to zjawisk przyrody, czy też wypadków historycznych, jest warunkiem umiejętności, bo tym sposobem dochodzi się do praw, które rządzą tymi zjawiskami, z tem jednakowoż przypuszczeniem, iż przyczyny są prawdziwe i że działanie ich nie jest skutkiem innych przyczyn. Wtedy bowiem tylko dojść możemy do celu każdej umiejętności tj. do poznania praw, rządzących pewnymi zjawiskami czy wypadkami, jeśli przedstawienie tego łańcucha przyczyn i skutków jest wierne i prawdziwe.

Jakże się ma rzecz z przyczynami, jakie podaje nam pragmatyczne dziejopisarstwo? Czy jesteśmy w stanie, czy możemy mieć przynajmniej nadzieję, że z tych przyczyn i skutków z takim trudem wydobytych przez pragmatyczną historyę z archiwów i źródeł, dojdziemy do celu umiejętności, do postawienia naczelnych praw historyi? Atoli do tych praw historya pragmatyczna nigdy, przenigdy nie dojdzie a to z następującego powodu.

Pragmatyczna bowiem historya szuka ostatecznych przyczyn wypadków historycznych w osobistej woli i w kaprysie działających na arenie publicznej bohaterów. Dlatego też charakterystyka monarchów i ich ministrów, głównych dowódców wojsk i dyplomatów, stanowi najulubieńszy temat rozpraw historycznych, chęć sławy jakiegoś uzurpatora musi być ostatnią przyczyną wypowiedzenia wojny a miłość pokoju monarchy musi być przyczyną jakiegoś międzynarodowego traktatu. Dyplomatyczne, zakulisowe intrygi, mają nam pragmatycznie przedstawić przyczynę upadku państwa, a przygody miłosne panujących mają nam uzasadnić wybuch rewolucyi. Krótko mówiąc tz. pragmatyczna historya szuka powodów zdarzeń po większej części w indywidualnej woli osobistości. Abstrahując od tego, że co do psychologicznych motywów jakiegoś działania nie przyjdzie do zgody pomiędzy historykami rozmaitych czasów i krajów, czego żądamy od umiejętności, zamykają sobie historycy przez „psychologiczną metodę" drogę do poznania prawdziwych i rzeczywistych wydarzeń historycznych, a tem samem do poznania praw. Albowiem przyjęcie wpływu woli jednostki na wypadki historyczne i sprowadzanie ich do osobistej dyspozycyi wyklucza wszelką prawidłowość. W gruncie rzeczy pragmatyczne dziejopisarstwo nie doszło do postawienia praw, co więcej ono nie dążyło nawet do nich, bez uświadomienia się, że rezygnując z praw, rezygnuje zarazem z charakteru umiejętności. W umiejętnem przedstawieniu dziejów należałoby wprost przeciwnie postępować. Nie można z duchowych właściwości i dyspozycyi poszczególnych osobistości wywodzić wypadków i faktów historycznych, tak jakby one były produktem indywiduów, lecz przeciwnie trzebaby wykazać jak duchowe właściwości i dyspozycye ludzi, ich idee i działalność, wypływają z potrzeb grup społecznych, do których należą. Tylko przedstawienie tego związku może budzić naukowe zainteresowanie się. Nie duchowe właściwości bohaterów są główną i ostateczną przyczyną wypadków, tak jak to przedstawiać lubią historycy, co więcej bohaterowie podrzędną tylko w prze-

biegu dziejów odgrywają rolę, ponieważ muszą być takimi jacy są potrzebni dla prawidłowego społecznego i politycznego rozwoju; w przeciwnym razie byliby niepotrzebni i niespożytkowani przez rozwój społeczny.

Spór o charakter dziejopisarstwa jest jeszcze i z tego względu niewdzięcznym, ponieważ między samymi historykami mamy całą skalę odcieni, zacząwszy od suchego annalisty i kronikarza, od artysty w przedstawieniu charakterów, akcyj państwowych, wojen i bitew, a skończywszy na filozoficznych autorach, wywodzących wypadki dziejowe ze stosunków społecznych, którzy są raczej socyologami, aniżeli historykami w zwykłem tego słowa pojęciu. Tak np. Mommsen jest socyologicznym historykiem, ponieważ w swej historyi rzymskiej przedstawia społeczne przyczyny rozwoju społeczeństwa rzymskiego. Taine zaś jest więcej socyologiem, aniżeli historykiem, albowiem widać u niego świadomą tendencyą wyjaśniania rozwoju wypadków z wzajemnych stosunków grup społecznych.

W dotychczasowym sporze o charakter historyi było przeświadczenie, że się rozchodzi o zdegradowanie historyi, tak jakby być umiejętnością znaczyło wyższą rangę. Pogląd ten atoli jest z gruntu fałszywy. Wszystkie zaś projekta zmiany metody w pracach historycznych nie wytrzymują krytyki. Historya będzie nad nimi tryumfować i zostanie tem, czem dotychczas była, pomimo najrozmaitszych proponowanych reform, pozostanie mniej lub więcej poetycznem przedstawieniem ludzkiej działalności na polu państwowego życia. Historya taka jaką jest będzie zawsze zaspakajać potrzeby, głęboko tkwiące w naturze człowieka tj. będzie uczyła zdarzeń i czynów przeszłych czasów i pokoleń. W tej też potrzebie duchowej człowieka leży uprawnienie bytu historyi, choć nie ma racyonalnego ugruntowania. Czy nauka historyi przynosi jaką korzyść, czy jest *magistra vitae* czy nie, o to możemy się sprzeczać. Byt historyi polega nie na racjonalnem ugruntowaniu, ale na psychicznem usposobieniu człowieka, w którym tkwi poetyczny pierwiastek. Człowiek bowiem potrzebuje bajek, których zbiornikiem jest właśnie historya. Że historya zajmuje się panującymi a zaniedbuje masy (patrz L. Bourdeau: „Historya i historycy") jest łatwem do zrozumienia, gdyż ludzie potrzebują zawsze cielca któremuby się kłaniali. W naturze ludzkiej tkwi pewna skłonność do bałwochwalstwa, perjod fetyszyzmu jeszcze nie ustał w świecie cywilizowanym, tylko że świat cywilizowany nie robi swych fetyszów z drzewa lub z gliny, ale bierze pierwszego lepszego męża stanu lub generała, który w pewnej chwili dziejowej stał przy sterze rządów i uznaje go swoim fetyszem. Ten historyczny fetyszyzm oczarowuje formalnie masy, które gonią za tym rodzajem kultu, temu zaś zapałowi mas pochlebiają historycy. Przypomnieć warto kult Napoleona we Francyi i jego arcykapłana Thiersa. U nas zaś w Polsce, szczególnie w Galicyi, istnieje n. p. kult Mickiewicza, którego kapłanem jest zawiązane umyślnie w tym celu stowarzyszenie posuwające badania swoje nad Mickiewiczem nieraz aż do śmieszności (np. artykuł umieszczony w jednym z roczników tow. Mickiewiczowskiego a zajmujący się kwestyą, za ile rodzina Mickiewicza sprzedała pozostałe po nim ruchomości. I to się nazywa badaniem naukowem). Pochlebia to narodom, jeśli mogą przypisywać jakieś wypadki wielkim ludziom, o których nieraz toczą się spory z zapałem godnym lepszej sprawy. Przypomnę tylko spór o narodowość Kopernika.

Historycy postępują tylko w myśl mas, których są produktem tak jak poeci i artyści, a zatem są wyrazem ich sposobu myślenia, dążności i ideałów. Również zarzut, czyniony historyi, że zajmuje się przeważnie wojnami i bitwami, że kreśli akcye państwowe a nie zajmuje się cichą, ale ważną, pracą ludu, jest nieuzasadniony. W gruncie rzeczy bowiem wojny i akcye państwowe są osią, około której obraca się życie ludów, a stąd prawdziwy instynkt mas, które zajmują się państwowymi akcyami, gdyż od ich przebiegu zależy los owej cichej pracy. Od wojen i walk zależy życie ludów, a wynik ich decyduje o możności tej cichej pracy. Nikt też nie zdoła zmienić instynktu mas, historycy zaś idą śladem tego instynktu.

W każdym razie historyografia, która wypływa z tego instynktu, nie jest umiejętnością, jest ona więcej poezyą, artystyczną reprodukcyą życia a jako taka będzie zawsze miała pewne psychologiczne i pedagogiczne znaczenie. A znaczenie to wzrastać będzie nie w miarę większej wierności natury, lecz w miarę artystycznej prawdy: artysta zwycięży fotografa. Pomiędzy zaś artystami będą mieli racyę bytu, stosownie do swoich zdolności i skłonności, malarze bitew, malarze spokojnego życia, pejzażyści i portreciści! Z tego powodu żadne nowe metody nie zmienią dziejopisarstwa na umiejętność, które chodzi tylko właściwymi sobie drogami.

Zawsze będą „nauki", których zadaniem będzie opowiadać, albowiem człowiek tego krótkiego czasu na ziemi lepiej zapełnić nie może jak dowiedzeniem się tego, co się dzieje i działo. Historya jest poprostu sprawozdawczynią z pola walki ludzkości, kto zaś wie z jaką gwałtownością zjadają ludzie codziennie różne sprawozdania o najrozmaitszych sprawach, jak im to jest potrzebne do życia i do rozrywki, ten pojmie z łatwością uprawnienie historyi, która obok powieści i romansów jest najbardziej czytaną gałęzią piśmiennictwa. Równolegle z tym głodem na wiadomości bieży zainteresowanie się wielkimi ludźmi. Człowiek ma niewątpliwie potrzebę duchową podziwiania z dala od siebie stojących osobistości. Potrzeba ta wymaga zadowolenia i znajduje je w historyi.

Oprócz wysokiej wartości, jaką posiada historya jako zbiór ważnych materyałów, które opracowują historycy dla filozofii i socyologii, jest ona ważną i ze względu na zawarte w niej idee, choćby z tego powodu, że bez zapalenia się do idei historycy nie byliby zgromadzili tak obfitego materyału. Bez idei nie ma historyografii.

Bousset nie byłby wziął pióra do ręki, gdyby mu nie chodziło o uczczenie zamiarów opatrzności, która ludzkość prowadzi od błędu do prawdy. Wolter nie przedstawiłby nam w sposób mistrzowski losów ludzkości, gdyby mu nie chodziło o przekonanie wszystkich, że historya to tragedya pełna krwi i mordów. Żaden historyk kultury nie zbierałby z mrówczą cierpliwością tej masy szczegółów, gdyby mu nie chodziło o udowodnienie, że człowiek dążył ze stanu zwierzęcego przez wiek kamienia, bronzu i żelaza, przez barbarzyństwo i ciemnotę do świetlanej wysokości naszej cywilizacyi. I tak było zawsze! Ale i z tymi ideami historya nie jest umiejętnością, gdyż te idee są subjektywnymi tendencyami, których do wysokości praw podnieść nie można, a tylko przedmiotowość i brak tendencyi jest kryteryum umiejętności. Ta zaś nie polega na naszem upodobaniu lub nieupodobaniu. Umiejętność bowiem nie chce nas nastroić smutno lub wesoło, ona chce poznać prawdę i prawidłowy rozwój wypadków.

Z tego cośmy powiedzieli, wynika, że spór z nadzwyczajną siłą toczony między historyą a historyą kultury o przewagę i uprawnienie, był całkiem zbyteczny i nieprowadzący do celu. Historya kultury zarzuca historyografii, że się zajmuje rzeczami nie mającymi sensu, a nie zajmuje się rozwojem kultury, która przecież jest treścią dziejów. Nie polityczna historya, lecz historya kultury jest właściwą historyą ludzkości. Na to odpowiadają historycy, że oni w nowszych czasach uwzględniają rozwój kultury, że od Schlossera począwszy zwracają uwagę na literaturę, umiejętności i sztuki, lecz akcyom państwowym pierwsze wyznaczyli miejsce w swych dziełach. Osobna historya kultury nie ma racyi bytu, przedstawia ona bowiem podrzędne a przynajmniej nie pierwszorzędne zjawisko, które oddzielone od swego naturalnego tła, politycznej historyi, nie ma żadnego znaczenia. Wzajemne te zarzuty są bezpodstawne. O uprawnieniu historyi mówiliśmy już, a zatem uporaliśmy się także z zarzutami historyków kultury. Że jednakowoż przedstawienie rozwoju kultury może być przedmiotem historycznej pracy, to się samo przez się rozumie. W każdym razie będzie to jednostronnością i brakiem, jeśli odłączymy kulturę od społecznego i politycznego życia, lecz to jest właśnie zadaniem poszczególnych monografij.

(Dokończenie nastąpi).

KWESTJA ROLNA W GALICJI.

II.

Stosunki te z dniem każdym niemal pogarszają się i przybierają coraz ostrzejsze formy. Idące w ślad za rozdrobnieniem ziemi zadłużenie jej dokonało kompletnej ruiny stanu włościańskiego, który zdaniem naszych patryotów ma być podstawą narodowego odrodzenia. W roku 1883 drobnych właścicieli było około 1,400.000, co w stosunku do posiadanego przez włościaństwo obszaru ziemi, wynosi przeciętnie *4 morgi na każdą posiadłość*. — Wedle wiadomości statystycznych Pilata przestrzeń gruntu, niezbędna dla utrzymania rodziny chłopskiej, powinna wynosić 10 — 15 morgów. Rozdrobnienie dochodzi w niektórych okolicach kraju naszego jak koło Krosna i Bohorodczan do bajecznej formalnie elastyczności. Gminy Żupawa, Furmany i Jeziorka są pod tym względem klasycznym okazem, gdyż na 5472 morgów pola przypada tam 7220 parcel, to jest mniej, niż jeden morg na parcelę.

Toby była jedna strona dziejowego rozwoju; teraz wypada nam przypatrzyć się drugiej stronie. Wiemy, że rozdrabniająca się ziemia koncentruje się równocześnie w ręku nielicznej garstki. Tego rodzaju zjawisko ekonomiczne nazywa się akumulacyą. I tak w 1859 r. było w Galicyi wielkich właścicieli 4500, w siedemnaście lat później tj. w 1876 roku spada ta cyfra do 2086 a zatem zmniejszyła się o połowę. Równocześnie z tem zmiejszaniem się liczby wielkich właścicieli widzimy skupianie się w ich ręku ziemi. Według obliczeń Rapackiego obszar wielkiej własności wynosił w 1874 roku 1180 morgów, w roku zaś 1887 obszar ten podnosi się do liczby 2397 morgów.

Jeżeli z jednej strony jest koncentracya ziemi a z drugiej jej rozdrobnienie, to forma przejściowa między wielką a małą własnością tz. średnia musi zniknąć z widowni. Prof. Milewski utrzymuje, że u nas w Galicyi nie ma wcale średniej własności.

Rozdrobnienie ziemi i jej koncentracya jest najlepszym dowodem, że u nas stosunki kapitalistyczne już się pojawiły w rolnictwie. Tego jednak nie chce wielu uznać, przytaczając przykłady, że często się zdarza parcelacya większej własności pomiędzy chłopów, co ma być dowodem nieistnienia kapitalistycznej formy produkcyi. Niektórzy nawet ekonomiści wysnuli z tego zjawiska osobne prawo ekonomiczne dla Galicyi. Rozpadanie się to wielkiej własności policzyć należy na karb czego innego i nie potrzeba specyalnie galicyjskich praw ekonomicznych wynachodzić. Powodem tego rozpadania się jest nieprzystosowanie się wielkiej własności do nowej formy produkcyi. To też gdzie wielka własność przystosowała się do nowych warunków bytu, tam ona się nie rozpada, przeciwnie wzrasta i usuwa mniejsze posiadłości ziemskie z widowni. Prawo Marxa i u nas znajduje potwierdzenie.

Oprócz wyżej przytoczonych powodów upadku drobnej własności, wymienić jeszcze należy równe działy familijne i przymusową sprzedaż za długi.

Jak dalece szkodliwe są równe działy familijne dla własności chłopskiej przedstawi nam fikcyjny przykład. Przypuśćmy, że pewien gospodarz, mający 5 morgów gruntu, jest zarazem ojcem 5 synów. Po jego śmierci każdy z synów otrzyma po jednym morgu, a zatem będzie już bardzo biednym człowiekiem; a gdy ma jeszcze żonę i 2 dzieci, to te otrzymają gospodarstwa wynoszące po pół morga pola. Na takim skrawku ziemi nie ma co robić, więc właściciel tego skrawku sprzedaje go i zaciąga się w szeregi proletaryatu, którego już nic nie wiąże z ziemią.

Co się tyczy licytacyj za długi, to one są klasycznym, typowym objawem upadku drobnej wła-

sności. Sięgnijmy do cyfr, one nam bowiem rzecz najlepiej wyjaśnią. W roku 1867 zarządziło 85 sądów powiatowych 164 licytacyj, w 1883 r. zarządziło 169 sądów 2.288 licytacyj. A zatem w przeciągu 16 lat liczba sądów przeprowadzających sprzedaż podwoiła się niemal; a liczba licytacyj wzrosła przeszło 26 razy. Ażeby z tych cyfr wyciągnąć całkowity i słuszny wniosek dodać musimy, że między rokiem 1867 a 1883 zlicytowano 23.672 posiadłości, mających wartość 23,350.032 złr. za długi w kwocie 7.010,000 złr., w ostatniem zaś czteroleciu t. j. od r. 1880 do 1883 zlicytowano 11.085 gospodarstw, wartości 10,559.032 złr. za długi w kwocie 3.293.990 złr. w. a.

Z cyfr tych widzimy, że na ostatnie czterolecie przypada połowa niemal licytacyi zarządzonych w ciągu lat 13, dalej widzimy, że wartość zlicytowanych posiadłości jest nie o wiele mniejsza od połowy wartości całej własności chłopskiej, sprzedanej przez 13 lat. Jeżeli jeszcze obliczymy ile przeciętnie powyższe cyfry rocznie wynoszą i zestawimy je, to wypadnie, że intensywność wywłaszczania drobnej własności wzrosła w ostatnich latach *17 razy!* A nie trzeba spuszczać z oczu tego faktu, że licytacye te rok rocznie większy zakreślają obszar kraju, którego mieszkańcy wkrótce będą proletaryuszami a nad nimi panować będą żydzi, ponieważ stanowią 41·2% pomiędzy wywłaszczającymi chłopów (podczas, gdy 16% stanowią chrześcjanie, resztę zaś banki). Dlaczego zaś żydzi przodują w tej akcyi, rzecz łatwa do zrozumienia. Cała bowiem ich przeszłość dziejowa na to się złożyła, że gdy nastała kapitalistyczna forma produkcyi, oni najłatwiej przystosowali się do nowych warunków bytu. Zajmowanie się ich przez całe wieki lichwą zrobiło z nich przednią straż kapitalizmu. Lecz ażeby nas nie pomówiono o stronniczość dodamy, że lichwą trudnią się także bogatsi chłopi, którzy równem zdzierstwem, co i żydzi się odznaczają.

W obec takich warunków bytu materyalne położenie chłopa musi być złe. Ogromna większość ludności nie otrzymuje minimalnej ilości pokarmu, potrzebnej fizyologicznie do utrzymania sił i zdrowia. Chłop galicyjski karmi się ochłapami i wybiórkami, co się odbija na zdrowotności mieszkańców, którzy nadzwyczaj łatwo ulegają chorobom epidemicznym, czego najlepszym dowodem jest przeciętny wiek człowieka; w Galicyi wynosi on 27 lat, w Czechach 33, w Belgii 37 i pół, we Francyi 39, w Anglii 40 lat.

Przeciętny zaś dochód chłopa galicyjskiego jest bardzo daleki od najmniejszych kosztów utrzymania życia. Wskutek tego panuje nieustanny głód, który dzięki nieszczęściom elementarnym przyjmuje jeszcze ostrzejszą formę. Szczepanowski, którego w tej mierze o stronność posądzać nie możemy, podaje że 50.000 ludzi umiera w Galicyi z braku dostatecznego pożywienia. Doskonałą charakterystykę chłopa daje Szczepanowski w „Nędzy Galicyi“: „Każdy Galicyanin pracuje za ćwierć człowieka, a je za pół człowieka“

Położenie włościan galicyjskich jest rozpaczliwe i bez nadziei polepszenia go w teraźniejszych warunkach bytu. Ażeby się z nędzy wydobyć, ma chłop dwie drogi: albo iść do fabryki albo emigrować do Ameryki: a ponieważ u nas fabryk bardzo mało, przeto nie pozostaje mu nic innego, jak opuścić kraj rodzinny i udać się za ocean, aby tam znaleść chleb, którego brak w ojczyznie. Tego też środka ratunku chwytają się chłopi i opuszczają Galicyę rocznie w liczbie 30.000 według obliczeń Kłobukowskiego. Lecz ten środek nie rozwiąże kwestyi agrarnej z tej prostej przyczyny, że do Ameryki ten udać się może, kto posiada przynajmniej pieniądze na podróż. I tak w rzeczywistości się dzieje, tylko bogatsi opuszczają kraj, pozostaje zaś proletaryat, o którym przy rozwiązywaniu kwestyi rolnej zapomnieć nie możemy, ponieważ jest najliczniejszym. *W roku 1874 wynosił on 74% całej ludności włościańskiej*, a zatem systematyczne ignorowanie go najmniej może wyjść na dobre tym warstwom, które dziś nad bezrolnym proletaryatem rozmyślnie przechodzą do porządku. Z niedawnych wypadków sycylijskich mogłyby się te warstwy niejednego nauczyć!

E. Ajot.

POEZYE.

POKONANYM.

Nie prawcie, chociaż wszystko zwiedzie was na świecie,
Że światło już przenigdy ciemni nie rozprószy,
Że ciężar, który serca i mózgi nam gniecie
Na innych ciężyć będzie, że łez nie osuszy

*

Już żadna jasna chwila, że nadzieja blada
Zwodniczą jest i nigdy do słońc nie zawiedzie,
Że troska, która chmurą na skroni osiada
Wiecznie trwając, w krainę rozpaczy powiedzie...

*

Nie mówcie tak! — bo może w tej tytaniej walce
Wam tylko osądzono upaść bez zwycięztwa,
I niczego nie zaznać, prócz wrogów ciemięztwa!

*

Cierpicie?... Cierpcie cicho... Despotów padalce
Niech nie wyją, że w boju wyście pokonani,
Lecz niech drżą, że ich inni strącą do otchłani!...

Zdzisław.

KIEDY TWYCH USTEK...

Kiedy twych ustek gonię korale
Krew mi po żyłach szybciej się toczy,
Chciałbym ich słodycz w namiętnym szale
Pić przez wiek cały, patrząc w twe oczy.

*

Kiedy twych ustek gonię korale
I piersi twojej czuję wznoszenie,
Chciałbym w tym dziwnym uczuć nawale
Ciągle czuć ust twych gorące tchnienie.

*

Kiedy twych ustek gonię korale,
Że w życiu mojem brak blasku słońca,
Lecz ciągła ciemność — nie pomnę wcale;

Pragnąłbym przeto ciągle bez końca
Żyć w tym zwodniczym, czarownym szale
W którym ust twoich gonię korale...

Zdzisław.

MŁODZI.

Na naszem niebie chmury
Lecz z nich nie strzelą gromy,
Zwiastuny złotych burz.
Ogrody nasze kwitną,
Lecz niema fiołków w nich
Lilij białych, ani róż.
Zielona nasza niwa,
Lecz rolnik się nie łudzi,
Że ona plon mu da.
Cudowne kobiet kształty
Samotny szepce młodzian:
Nie dla mnie rozkosz ta.
Ponure nasze oczy,
Lecz suchej ich źrenicy
Nie zwilży srebrna łza.
Zmęczone nasze dłonie,
Lecz ręka, co omdlewa,
Nie rwała paszczy lwa.
Stęsknione nasze serca,
Lecz w piersi rozmarzonej
Ohydna żądza trwa.
Zmarszczone nasze czoła,
Lecz w czaszce rozpalonej
Bezsilna myśl tam drga.

* * *

NASZA SZTUKA

pod redakcyą
Romana Lewandowskiego.

„CHORAŁ"
w illustracyach Jana Styki.

Ogromnie ruchliwy malarz w rozrzucaniu popularnych myśli między naszą publiczność, sięgnął po laury illustratora całym cyklem obrazów. Za temat posłużył mu nieśmiertelny poemat Ujejskiego, wstrząsający duszą każdego Polaka: choral „Z dymem pożarów". Bardzo chwalebną myślą jest illustrowanie znakomitych utworów w formie cyklów, gdyż tym sposobem przechodzę one łatwiej w posiadanie ogółu. Forma to, tylko z pozornej jej cechy zapożyczona od nieśmiertelnej pamięci Artura Grottgera, którego utwory w całym świecie wzbudziły dla narodu polskiego łzy współczucia. nie jako illustracye do danego tematu, lecz jako samodzielne, genialne dzieła największego i najbogatszego w motywa artysty-poety. Grottger tem właśnie różni się zasadniczo od swoich naśladowców, że jest twórcą i kompozytorem własnych idei, podczas kiedy większość dzisiejszych malarzy illustruje tylko myśli przez kogo innego już wypowiedziane. Do tego ostatnego rodzaju należą przepyszne obrazki Stachiewicza do Kraszewskiego bajki „Dziad i baba" oraz cykl legend o Matce Boskiej. Są to także illustracye, ale mimo to zasługują w całem słowa tego znaczeniu na nazwę dzieł sztuki, gdyż autor, zapożyczywszy temat, dostroił się jako artysta do myśli swego poprzednika i stworzył dzieła w warunkach artystycznych samodzielne, a posługując się znakomitem wykonaniem technicznem, położył zasługi, równie doniosłe dla sztuki, jak i publiczności. To też każde dzieło p. Stachiewicza, artysty obdarzonego talentem o tak wybitnym podkładzie poetyckim, witamy z prawdziwą przyjemnością, a chętnie czynimy to ze wszystkimi pracami innych artystów, jeżeli dorównywują mu chociaż w części pomysłem i wykonaniem.

O illustracyach p. Styki do „Chorału" niestety tego powiedzieć nie możemy. Sama myśl uplastycznienia „Chorału" dla rozpowszechnienia między publicznością podczas wystawy, jest bardzo szczęśliwą. Wykonanie jednak technicze i kompozycyjne pozostawia wiele do życzenia. W cyklu tym daje się uczuwać przedewszystkiem brak organicznej całości i ciągłości w szeregu następujących po sobie kartonów, co w takim wypadku jest przecież koniecznym warunkiem. Niejednolitość całej kompozycyi i każdego kartonu z osobna robi wrażenie niejasnego zrozumienia przedmiotu, albo niemocy opanowania go i nadania mu wyraźnego charakteru. Gdyby nie podpisy, to każdy z tych kartonów byłby bez najmnieszego znaczenia dla „Chorału" i mógłby przedstawiać nie epizody z dziejów naszego męczeństwa, lecz biblijne zabójstwo Abla, św. Jerzego na koniu, Orleańską Dziewicę, odpoczynek w kopalniach sybirskich i t. p. Cały cykl, sądząc szczególnie po oryginałach, umieszczonych na wystawie sztuki, czyni wrażenie roboty zamówionej na oznaczony termin. Zdaje się, że p. Styka w ostatniej chwili wziął się do tych kartonów i chciał koniecznie zdążyć z wykonaniem ich na wystawę. Są to okoliczności, które może kiedyś i kogoś mogą usprawiedliwić, dla nas wygląda to trochę na zbagatelizowanie przedmiotu, czego nie godziło się czynić ze względu na autora „Chorału" i na narodową wartość tego utworu. Nie ma w kartonach tych przejęcia się treścią i pięknem poezyi, ową straszna grą słów, podnoszącą włosy na głowie, a bez takiego przejęcia się niepodobna nawet przy największych zdolnościach malarskich stworzyć dzieła o wartości artystycznej. Nie trudno działać na publiczność szerszą i mało co wiedzącą o sztuce kompozycjami o narodowych barwach, bo mimowoli każdy drgnie na widok ojczystego tematu, bez względu na jego wykonanie.

Autor kartonów do „Chorału" wie o tem doskonale, gdyż w ostatnich czasach, porzuciwszy drogi starego Rzymu, wstąpił na drogę martyrologii polskiej, znajdując na niej rzeczywiste powodzenie. Ale sztuka sama, czy to na *Via Appia* czy *Via Siberica*, wymaga przedewszystkiem szczerości pracy, pogłębienia przedmiotu i miłości w komponowaniu, a zawsze dobrego rysunku. Pan Styka, pominąwszy te względy zasadnicze, wogóle nie przebierał w środ-

kach. Wszystkie sześć kartonów przypominają już gdzieś i kiedyś widziane obrazy. Miejscami spostrzegamy poezyę zapożyczoną, wyglądającą tutaj na niesmaczną affektacyę, miejscami grozę, która się nie udziela i zdaje się prosić o względy, gdyż bezprawnie została użytą i przerobioną. Najwidoczniej przecież jest tutaj Malczewskiego „Odpoczynek w kopalni". Matejki Witołd z „Bitwy pod Grunwaldem", Batowskiego „Św. Jerzy", Rauchingera „Wolny", Gabriela Maxa „*Es ist vollbracht*" i całe mnóstw odrobnych szczegółów z Grottgera. Wierszom, podpisanym pod illustracyami, nie koniecznie odpowiadają same kompozycye. Dość, jeśli zacytujemy ustęp:

„Syn zabił ojca — brat zabił brata"
„Mnóstwo kainów jet pośród nas"

Jako illustracyę do tych słów widzimy obok wzgórka, przedstawiającego stos ofiarny, nagiego trupa prawdopodobnie Abla. Gdzież tu są owi kaini, którzy mają być pośród nas, gdzie w ogóle polska myśl, wyrażona przez poetę? To co jest, jest poprostu illustryacyą biblii a nie „Chorału".

Dlatego też o ile jesteśmy wdzięczni p. Styce za podjęcie samej myśli illustrowania nieśmiertelnego dla nas poematu, który rozchodząc się w plastycznej formie między szerokie masy narodu, niezawodnie może mieć patryotyczne znaczenie, o tyle nie mogliśmy się powstrzymać od wypowiedzenia powyższych uwag. Na kartony te można było poświęcić jeszcze parę miesięcy czasu i wykonać je jako prawdziwe dzieło sztuki, gdyż mamy pewne prawo wymagać od artysty tak zdolnego i pracowitego, jakim jest p. Styka, aby nam dawał rzeczy swoje tylko dobre.

Z SEZONU OPEROWEGO.

Jeżeli publiczność lwowska, tak przepadająca za operą, w tym roku stale od niej stroni, to winę tego musi dyrekcya sama sobie przypisać. Przekwitła „Żydówka", ochrypły ze starości „Trubadur" i podstarzała „Favorita" mogą zająć słuchaczów tylko w razie wystawienia ich w możliwie świetny sposób, dyrekcya jednakowoż nie ma na sumieniu ani jednego świetnego przedstawienia: tak obsada jak i zewnętrzna szata widowiska pozostawiają zawsze wiele do życzenia. Nawet gdy chóry śpiewają znośnie, gdy orkiestra gra czysto, gdy wreszcie spiewacy tworzą jaki taki ensemble, zawsze musi jakiś ewenewent popsuć całe wrażenie. Taki nieumyty „kwiat szlachty francuskiej" w 4 akcie „Hugonotów", taki pochód wojsk egipskich w „Aidzie", walc w „Fauście", nie wspominając już o kapłanach egipskich, którym z pod niepewnej białości prześcieradeł wyglądają *żółte polskie buty*, zdolny jest nawet najbardziej grozą sytuacyi przyjętego słuchacza przyprawić o serdeczny śmiech. Orkiestra znów wespół z chórem obrały sobie za cel modernizowanie podstarzałej harmonii włoskich oper, i urozmaicają ją dyssonansami, o jakich się Wagnerowi z pewnością nie śniło, a które nawet jednego z tutejszych polsko-rusko-włoskich artystów zmuszają do klasycznego zaklęcia: „Il diavolo ti porti!"

Do niedawna cały personal obecnego sezonu, nie rachując przejezdnych „gwiazd" i tenorzysty, składał się ze spiewaków i spiewaczek *zaczynających* dopiero karjerę sceniczną lub *kończących* ją już, co naturalnie nie mogło być bez wpływu tak na repertuar jak na wykonanie. Tych, którzy *kończą* swą karyerę, można tylko prosić o rychłe jej zakończenie, ale za to do śpiewaków początkujących, jeżeli już zostali przyjęci na scenę, ma się pretensyę o dobry i sumienny spiew. Niestety młodzi tutejsi spiewacy, dostawszy się przedwcześnie na deski sceniczne, biorą widocznie płatne oklaski za zachwyt publiczności, a pochlebne wzmianki prasy za dobrą monetę, i zamiast pracować powiadają sobie: ani kroku dalej.

Jakiż jest ten personal, który ma olśnić gości wystawowych? Rzeczywiście doskonałymi spiewakami są tylko p. Myszuga i Szlafenberg. Zalety i wady spiewu p. Myszugi były już nieraz przedmiotem dłuższych dysertacyi w prasie, zbytecznem więc by było dłużej się nad nimi rozwodzić. Co do p. Szlafenberga zaś, to z przyjemnością możemy skontatować, iż tak dobrego bohaterskiego tenora nie słyszeliśmy jeszcze od czasów Raverty. Głos p. Szlafenberga jest silny i męzki, sposób spiewania i gra odznacza się temperamentem i zapałem. Jedno tylko możnaby co do spiewu zrobić zastrzeżenie: regestr piersiowy wykształcony jest doskonale i sięga w górze aż do *fa* i *sol*, za to tony górne są w stosunku do dolnych i średnich za mało jasne, wskutek tego np. zakończenie duetu z Amneris przed sceną sądu sprawia dziwne nieco wrażenie, gdyż wszystkie *mi* bemol są nader pełne i dzwięczne, a wszystkie *sol* są stosunkowo słabe i głuche.

Trzecie miejsce należy się bez zaprzeczenia pannie Kruszelnickiej, która dość wcześnie na szczęście przestała się uczyć u p. W. aby zachować głos od przeforsowania i złamania. Silny i dźwięczny jej głos, aczkolwiek w górze wymaga jeszcze dłuższej pracy, z łatwością przezwycięża nawet tak forsowne partye jak Aida, i brzmi równo na całej prawie skali. Gra zaś inteligentna nie porywa wprawdzie, ale też nigdzie nie razi.

Pan Zegarkowski wybił się w tym roku na należące mu się słusznie stanowisko. Piękny i szlachetny głos jego w dobrej kształcony szkole sprawia przy wysoce inteligentnem traktowaniu śpiewu i gry nader miłe wrażenie. Jako Baltazar w „Favoricie", Lothario w „Mignon" i Brogui w „Żydówce" był bardzo dobry, a już takim Skołubą, jakiego tworzy w „Strasznym dworze", nie poszczyci się nawet Warszawa.

P. Kowalski przedstawił się jako doskonały materyał na śpiewaka, ale głosowi jego potrzeba jeszcze pracy a niezawodnie wybije się na bliższy plan. Dziś ma on jeszcze braki, szczególnie tony dolne są niedosłyszalne. Barytonista p. Górski posiada głos o ostrym dźwięku i zupełnie nie postawiony. Stąd też pochodzi, że recitativa nie są przez niego spiewane, lecz raczej deklamowane. Za to spostrzegamy w nim ślady ustawicznej pracy, która wynagradza częściowo inne braki. Panna Strassern spiewa podobnie jak p. Górski, z tą jednak różnicą, że głos jej ma trzy regestry zupełnie nie zrównane, z których tylko górny i dolny funkcyonuje, zaś medyum jest zawoalowane i słabe.

W. N.

Przeciw

Stowarzyszeniu artystów polskich.

Dziwiliśmy się, że pisma, których redaktorowie zasiadają w łonie Dyrekcyi Towarzystwa Przyj. Sztuk pięknych w Krakowie, dotąd nie wystąpiły przeciw nowo założonemu Stowarzyszeniu artystów. Powodem tego było po prostu niedowierzanie w możliwość istnienia takiego związku oraz powszechna i galicyjskim pismom wspólna taktyka — zabijanie kogoś pogardliwem milczeniem. Stowarzyszenie zdobywa coraz większą ilość członków, a ze statutami jego — nie najlepszymi zresztą — solidaryzują się prawie wszyscy polscy artyści. Milczenie przerwał pierwszy „Czas" krakowski, który w artykułach z dnia 23 i 24 czerwca broniąc zdepopularyzowanego obecnie Tow. Sztuk. pięknych, uderzył na artystów, w szczególności na pewne pisma lwowskie i krakowskie, od kilku już lat zwracające uwagę na kiepską gospodarkę w zarządzie Towarz. Sztuk pięknych. Szanowny autor tego artykułu, sam członek Dyrekcyi, nie może mieć bezstronnego zdania, tem więcej, że należał do rzędu bliskich przyjaciół i protegujących dawnego sekretarza Tow. p. Cieszkowskiego. Co p. Cieszkowski zrobił dla Dyrekcyi i w jaki brutalny, a nawet niegodny sposób zraził dla niej najprzychylniejszych artystów, o tem wiemy wszyscy, a najlepiej wie sam autor artykułu. Koniec jego gospodarki był taki, że salony Wystawy Towarzystwa świecą nagiemi ścianami, że musiano z prywatnych zbiorów pożyczać obrazy dla ich przykrycia i że nareszcie tak Dyrekcya towarzystwa Sztuk pięknych jak i artyści uwolnieni zostali od tego pana ucieczką czy też wyjazdem jego z Krakowa. Zaznaczając tych parę słów na razie — zostawiamy szerszą odpowiedź na artykuł „Czasu" do przyszłego numeru.

»Stańczyk« Matejki — obmyty.

W ostatnich dniach poruszyła nasze sfery artystyczne, o ile je w ogóle coś poruszyć może, wiadomość bardzo wprawdzie nieprawdopodobna, ale prawdziwa. Wiadomo, że jednym z największych mecenasów nowoczesnej sztuki polskiej jest Ignacy hr. Milewski w Wilnie. Kilka obrazów z jego zbiorów zasiliło pałac sztuki na obecnej wystawie krajowej, a jedną z prawdziwych pereł polskiego pendzla jest niezaprzeczenie Matejki „Sta ńczyk". Hr. Milewski przybył w tych dniach do Lwowa i zwiedzając Mauzoleum Matejki, spostrzegł ku ogromnemu swojemu zdziwieniu, a zarazem oburzeniu, że „Stańczyk" został przez kogoś terpenyną czy spirytusem — oczyszczony.

Śmiałej tej operacyi miał podobno dokonać bez upoważnienia właściciela, profesor uniwersytetu krakowskiego p. Marjan Sokołowski, poszukując na obrazie podpisu twórcy, gdyż ma kwestjonować... autentyczność „Stańczyka". Hr. Milewski zirytowany i zmartwiony tym aktem barbarzyńskiej śmiałości, wysłał list do Dyrekcyi wystawy krajowej z oświadczeniem, że cofa wszystkie swoje obrazy i wytoczy proces o odszkodowanie. Równocześnie wystosował list do Akademii Umiej. i Wszechnicy Jagielońskiej, pełen uwag bardzo przykrych dla prof. Marjana Sokołowskiego, jako znawcy sztuki i estetyka.

Tyle wiemy z opowiadania. Ile w niem jest prawdy lub przesady, o tem dowiedzieć się nie mogliśmy, ponieważ sfery interesowane otaczają całe zdarzenie tajemnicą albo z uśmiechem słodyczy sprowadzają je do zera. Oczekujemy więc powrotu hr. Milewskiego z Krakowa, który nam bliżej wszystko to wyjaśni. W każdym razie nie możemy się powstrzymać od uwagi, że za wiele wielkości mamy w składzie opieki nad artystami i ich dziełami.

Coś zepsutego w państwie duńskiem.

Artystyczna spółka racławickiej panoramy nie koniecznie po koleżeńsku obeszła się z malarzami: Tetmajerem i Wodzinowskim, niezupełnie też przyjaźnie rozeszła się i z Bollerem, Niemcem wprawdzie, ale takim, który lwią zasługę położył w wymalowaniu przepysznego pejzażu panoramowego, obecnie zaś donoszą nam, że spółka ma zatarg z malarzem i fotografem p. Koehlerem. Koehler ofiarował się ze zdjęciem bezpłatnem całej panoramy dla stworzenia pamiątkowego albumu. PP. Kossak i Styka zgodzili się na to i zobowiązali się wziąć sto takich albumów w cenie *dwa guldeny* za jeden. Zdjęcia p. Koehlera są przepyszne, przyznała to spółka i zażądała, aby klisze odstąpił zakładowi heliograwur Paulussena w Wiedniu. Koehler z początku nie chciał o tem słyszeć, ale w końcu uległ prośbom p. Kossaka i wydał klisze za cenę 120 złr. i zwrot ich w przeciągu kilku dni do dalszego kopiowania na albumy. Pomimo przyrzeczenia zapłaty w parę godzin, minęło kilkanaście dni, a p. Koehler ani pieniędzy ani klisz dotąd nie otrzymał. Na list swój do p. Kossaka, otrzymał odpowiedź, że wypłaci mu p. Styka, na list do p. Styki otrzymał odpowiedź, że mu się nic nie należy i p. Styka wcale nie myśli tej sumy zapłacić. W obec tego, p. Koehler polecił swemu adwokatowi wniesienie sądowej skargi przeciw artystom o wyłudzenie podstępne klisz fotograficznych. Przypuszczamy, że zaszło tutaj jakieś nieporozumienie i sądzimy, że tak p. Kossak jak i Styka sprawę tę drogą ugodową załatwią i nie dopuszczą do procesu, kompromitującego to przedsiębiorstwo.

Olga Boznańska i jej model.

W Wiedniu w czasie ostatniej wystawy sztuki, odznaczono złotym medalem portret mężczyzny, wykonany przez malarkę Boznańską. Poprzednio portret ten był wystawionym w monachijskim Kunstvereinie i ściągnął na artystkę bardzo ostrą krytykę, nie tyle samego malowania, ile jej modela, w piśmie *Bayerischer Courrier*.

Między innemi, zwracał krytyk uwagę na tego modela jako na człowieka *fin de siecle*, który żyć nie może, bo się przeżył, który należy do rzędu zdechlaków moralnych, wycieńczonych i zepsutych nieporządnem prowadzeniem i t. p. Po takiej krytyce odezwał się i sam model, którym jest doskonały malarz monachijski i nauczyciel panny Boznańskiej

p. Nauen. Zapozwał on redaktora pisma przed sąd o obrazę honoru i uzyskał satysfakcyę przez skazanie go na 100 marek grzywny. Sąd przyznał, że krytykom wolno najostrzej nawet krytykować obraz przedstawiający jakąś scenę z życia, ale nie portret, którego model powinien zostać nietykalnym. Portret podlega krytyce w technice malowania i pojęciu, a nie prywatnego życia modela.

Portret ten jest obecnie na Wystawie krajowej i zwraca na siebie — nawet bez tej reklamy — uwagę prawdziwych znawców swoją rzeczywiście artystyczną wartością i nieporównaną techniką malarską.

ROZMAITOŚCI.

Opóźnienie się tego numeru wynagrodzimy czytelnikom znacznem powiększeniem objętości pisma, które nastąpi niebawem. Tymczasem zaś apelujemy do przyjaciół reprezentowanego w naszem piśmie kierunku, aby raczyli jednać nam prenumeratorów, gdyż na ciężkim gruncie galicyjskim bez agitacyi niepodobna nic zrobić.

Słynna powieść Emila Zoli „Lourdes“ zaczęła wychodzić w polskim przekładzie w nowo założonem czasopiśmie pt. „Żniwo powieściowe i artystyczne“. Przekładu dokonał współpracownik nasz Dr. J. Błeszyński.

Szereg interesujących artykułów o neomistycyzmie drukuje w „Gazecie Narodowej“ Dr. Teodor Jendl. Notujemy je z tego powodu, że wkrótce tej samej kwestyi dotkniemy w naszem piśmie.

„Kruczek mecenasa“. Czteroaktowa farsa p. Zielińskiego pod powyższym tytułem, odznacza się tem, że jej autor jest... na czasie. Z tego też zapewne powodu teatr, cierpiący od paru tygodni już na chroniczne pustki, zapełnił się wyjątkowo sporą liczbą gości. O samej sztuce p. Zielińskiego, który dał się już poznać jako współautor wybornej komedyi „Dobry numer“, nie można tym razem wypowiedzieć samych pochwał. Wprawdzie dyalogi są w niej żywe, robota sceniczna dość zręczna, dwa pierwsze akty napisane bardzo obiecująco, jednakże dokończenie przeprowadzone zostało fatalnie, zainteresowanie słuchacza, które utrzymane być powinno aż do ostatniego momentu, ustaje już w trzeciej odsłonie, a co najważniejsze, że postacie, kilka scen a nawet poniekąd intryga przypominają zanadto żywo znaną dobrze farsę Zalewskiego. Niezawodnie jednak w p. Zielinskim tkwi pewien talent sceniczny, który mógłby się rozwinąć pomyślnie. „Kruczek mecenasa“ był grany *con amore*. Pp. Siemaszko, Walewski, Trapszo, Kliszewski, Gostyńska, Kwiecińska wzięli udział w jego wykonaniu. Publiczność była bardzo sympatycznie usposobiona dla autora, wywoływała go energicznie ale autor był — na wystawie.

Zjazd literatów i dziennikarzy polskich. Obradujący w mieście naszem zjazd literatów i dziennikarzy polskich witamy szczerem sercem i zasyłamy jak najgorętsze życzenia, by obrady jego wyszły na pożytek narodu naszego i literatury. Pisząc atoli o zjeździe musimy wytknąć kilka nietaktów, które popełnił komitet zjazd urządzający. Oto komitet ten złożony z urzędników kolejowych, asekuracyjnych, bankowych, lekarzy i adwokatów, a nie z literatów i dziennikarzy, pozapraszał do udziału wszystkie towarzystwa bratnie lwowskiemu Kołu liter. gdzie kwitnie tylko gra w karty i domino, ale nie literatura, a zapomniał zaprosić do współudziału lwowskich dziennikarzy, nie należących do Koła, a grupujących około Tow. dziennikarzy polskich. Szczęście jeszcze, że w ostatniej chwili urzędnicy owi, przybierający sobie od czasu do czasu godność literatów, usunęli się na bok, że przewodnictwo zjazdu powierzyli rzeczywiście w ręce pracowników pióra.

Komitet ten podając propozycye wyboru popełrównież jeden wielki błąd. Oto na prezesa sekcyi dziennikarzy zaproponował Wojciecha hr. Dzieduszyckiego, który nigdy nie był dzienikarzem i z dziennikami miał tyle do czynienia że drukuje w nich nudne „Paryskie małżeństwa“ i „Święte ptaki“; komitet ów zapomniał widocznie, że we Lwowie mamy nestora naszego dziennikarstwa p. Płatona Kosteckiego, człowieka około rozwoju dziennikarstwa i szerzenia myśli polskiej stokroć bardziej zasłużonego niż hr. Dzieduszycki. Mężowi temu, który obchodził w r. b. 30-letni jubileusz swej ciężkiej pracy i który sterał swe siły w zawodzie dziennikarskim, należał z prawa wybór na prezesa sekcyi dziennikarskiej. Lecz komitet zaproponował hr. W. Dzieduszyckiego. U nas tytuł, szych i blichtr zawsze więcej znaczą, niż prawdziwa zasługa.

Stosunki dziennikarskie na prowincyi są u nas niewesołe, o tem wiedzieliśmy oddawna. Parafjańskie ambicyjki, obskurantyzm i nieodczuwanie potrzeby szerszego życia umysłowego stanowią główne zapory, które prasie tej nie pozwalają rozwinąć się tak, jak się ona rozwinęła u naszych zachodnich sąsiadów. Ale wypadek, który mamy dziś zanotować ku wiecznej chlubie naszej ścislejszej ojczyzny, jest tak charakterystyczny, że nawet na tle tutejszych bynajmniej niewesołych stosunków, odcina się wjaskrawych kolorach. Najwybitniejszem podobno pismem prowincyonalnem w Galicyi jest wychodząca od lat ośmiu *Gazeta Przemyska*, która dzięki dzielnej redakcyi Wacława Regera zajęła dziś w prasie naszej wcale poważne stanowisko. Wprawdzie *Gazeta* miała oddawna lokalnych nieprzyjaciół z powodu swego zbyt ostrego tonu, w którym na szpaltach jej prowadzoną była nieubłagana, kampania przeciwko „mikrobom miejskim“ i rozmaitym dostojnikom przemyskim, co nas zresztą bardzo mało może obchodzić, ale przyznajmy, że wszystkie te zwalczane przez nią żywioły zachowywały się względem przeciwnika lojalnie i z odpowiednią miarą. Innych zupełnie, a jak się pokazało, skuteczniejszych środków użyła miejscowa kapituła łacińska, wierna zasadzie, iż gdzie idzie o dopięcie celu, tam wszystkie środki są dobre. W kilka dni po ogłoszeniu znanej encykliki papieskiej do biskupów polskich pojawił się w *Gazecie Przemyskiej* artykuł pt. „Watykan w obronie uciśnionych“. Artykuł ten, napisany w tonie nieprzychylnym dla wspomnianej encykliki, wywołał burzę w łonie kapituły przemyskiej. Ażeby podciąć egzystencyę niewygodnego sobie pisma, zwróciła się ona do zarządu miejscowej drukarni, w której w najlepszej zresztą zgodzie

drukowały się różne pisma dyecezyalne obok radykalnego organu, i postawiła jej niedwuznaczne ultimatum: „my albo oni!“ Drukarz mający do wyboru pomiędzy kapitułą, która rocznie dostarcza mu robót podobno na 3000 złr. a niezasobnym klientem w postaci dzienniczka, łożącego na druk rocznie niespełna 1500 złr. nie mógł postąpić sobie inaczej, jak wypowiedzieć druk gazecie, a zostać przy tłustym zarobku z kapituły. W taki sposób pobożni ojcowie zemścili się na niemiłym sobie organie, który wygnany z rodzinnego gniazda przenieść się musiał do Lwowa i tu ze stratą czasu i pieniędzy uciec się pod skrzydła innej drukarni. Oto próbka stosunków, wśrod których rozwijać się i działać ma prasa nasza na prowincyi.

Przez trzy dni bawili we Lwowie w celu zwiedzenia wystawy krajowej dwaj dziennikarze polscy z Bytomia, współpracownicy górnośląskiego *Katolika* pp. Jan Eckert i Piotr Pilchowski. Wizyta ich zanotowana pokrótce przez wszystkie tutejsze dzienniki, posłużyła nam do zasięgnięcia informacyi o stosunkach polskich na Górnym Szląsku. To, co usłyszeliśmy z ust dzielnych dziennikarzy bytomskich, napełnia nas zupełną otuchą o los starej prowincyi piastowskiej. Pod wielu zaś względami ta zapomniana i własnej tylko pomocy zostawiona dzielnica, osiągnęła rezultaty, o jakich my nawet marzyć nie możemy. *Katolik*, główny organ polski na Szląsku, liczy 17.000 prenumeratorów — cyfra, która długo jeszcze będzie dla galicyjskich pism przedmiotem bezskutecznych westchnień. Ale na tych 17.000 nie koniec. *Katolik* stanowi właściwie duży warstat dziennikarski, z którego prócz głównego organu, wydawanego co drugi dzień, rozchodzi się 7 innych pism, zaspokających wszystkie potrzeby ludności śląskiej tak w kierunku fachowym jak intelektualnym. Kontyngens odbiorców stanowią wyłącznie chłopi i robotnicy. Co do tych ostatnich, to oprócz podtrzymywania instynktów patryotycznych, pismo bytomskie cywilizuje ich, stara się z surowego materyału zrobić to, co z niego otrzymała już dawno Europa zachodnia, stąd w fabrykantach tamtejszych posiada nieubłaganych wrogów którzy wiedzą dobrze, że tylko ciemny i głupi robotnik da się bezkarnie eksploatować na korzyść cudzej kieszeni. W Galicyi pisma, wydawane pod dewizą katolicyzmu, są z odwrotnej strony medalu z reguły konserwatywno-szlacheckiemi, tam zaś stanowią one najsilniejszą opozycyę przeciw klasie posiadającej, która w odniesieniu do robotniczej ludności polskiej reprezentuje podwójny ucisk: społeczny i narodowy. Dodajmy, że *Katolik* jest pismem bardzo bogatem, gdyż w kilkunastu zgrupowanych dokoła siebie pismach, w budynkach i olbrzymiej drukarni posiada majątek, wynoszący pół miljona marek, a będziemy mieli pojęcie, czego dokazać może chłop polski, bez jaśnie wielmożnej opieki i protekcyi.

Kuźnia nowych wyrazów. Wiadomo, że obok rozmaitych innych rodzai maniaków, istnieją także maniacy filologiczni. Ci chieliby wszystkie wyrazy, chociażby tylko z daleka pachnące cudzoziemczyzną, skasować, a na ich miejsce wprowadzić terminy własnego wynalazku, bez względu na to, że stare, z obcych języków zapożyczone wyrazy są utarte, wygodne i ogólnie przyjęte, gdy tymczasem nowo sfabrykowane często wyglądają jakby wymyślone na szykanowanie polszczyzny. Tak doczekaliśmy się zamiast bicyklisty „kolarza“, zamiast handlu „targowli“, zamiast akademii „uczelni“ itd. Niektóre pisma bardzo gorliwie popierają tę dziecinadę.

Tingl i teatr. Przed pół rokiem zniesiono we Lwowie operetkę, a choć ten i ów jej amator wzdychał z tego powodu, jednak dobrze nam z tem było. Dopiero teraz dla podreparowania kasy dyrekcya teatru sprowadziła znaną p. Zimajer, która ciągle jeszcze z powodzeniem obwozi po świecie swoje spróchniałe wdzięki. Pani Zimajer odznacza się tem, że gra głównie... nogami i podkreśla gorliwie ustępy adresowane do najpospolitszych instynktów, a tak nazwaną „nonszalansyę“ posuwa aż do lekceważenia słuchaczy, ma zatem więcej powołania na spiewaczkę tinglową, niż na artystkę, nawet operetki, gdzie dyskrekcya stanowi czynnik bardzo pożądany. Na szczęście dla pani Zimajer publiczność lwowska jest bardzo niewybredna, ma mało poczucia własnej godności *i nic sobie nie robi nawet z tego, że pani Zimajer przyjechała do Lwowa prosto z jednego z drugorzędnych tinglów wrocławskich.* Najsmutniejszem jednak dla nas jest to, że specyalnie z powodu występów p. Zimajer kazano grać w operetce artystom dramatu, a przedewszystkiem tak znakomitej i sympatycznej artystce, jak pani Kwiecińska.

Do
Szanownej Redakcyi
„Kroniki społecznej i literackiej“
we Lwowie ulica Kopernika l. 28.

W numerze 5. z 30. maja 1894 zamieszczono w dziale: „Rozmaitości“ na stronicy 8ej pod napisem: „Prezydent rodak a wystawa krajowa“ wiadomość pochodzącą, jak twierdzi autor tego artykułu, z autentycznego źródła, tej treści, że podpisany Dyrektor ruchu kolei państwowych uczynił do c. k. generalnej Dyrekcyi kolei państwowych we Wiedniu wniosek, by urzędnikom z powodu nawału pracy przy ekspedyowaniu przesyłek, przeznaczonych dla wystawy krajowej, przyznano renumeracye. Te propozycye miała c. k. generalna Dyrekcya odrzucić, zaś ja miałem od Jego Eks. Pana Prezydenta otrzymać ostrą naganę.

Otóż oświadczam, że powyższa wiadomość jest czysto z myślona, gdyż podobnego wniosku nie czyniłem i czynić nie miałem powodu, albowiem Dyrekcye ruchu mają wyznaczony pewien kredyt na udzielenie renumeracyi we własnym zakresie bez dalszego odwoływania się do c. k. generalnej Dyrekcyi, w konsenkwencyi i JEks. Pan Prezydent nie miał najmniejszej przyczyny do udzielania mi nagany. Powyższe sprostowanie zechce Szanowna Redakcya w myśl §. 19 ustawy prasowej umieścić w najbliższym numerze „Kroniki“ w odpowiedniem miejscu.

Deyma.

Odpowiedzialny redaktor E. Ostruszka. Z drukarni E Ostruszki, Lwów — Sykstuska 10.